

Po fali zachwytów nad polską samorządnością – zachwytów, dodajmy, słusznym i usprawiedliwionym – w prasowej dyskusji zaczynają się pojawiać artykuły, ujawniające również pewne ograniczenia i zagrożenia. O nadmiernym upartyjnienu samorządów pisał m.in. [Igor Janke w „Rzeczpospolitej”](#) (5.11.2010). Tymczasem na każdym niezależnym „szczeblu” wygląda to trochę inaczej. Prawdziwym problemem okazuje się: słabość partii w samorządach gminnych, niestabilność w powiatowych i nadmiar – w wojewódzkich. Tu zajmę się tylko sytuacją w większych miastach.

Smutek spełnionych programów

[Andrzej Jarczewski](#), 5.11.2010

Piszę to z pozycji bezpartyjnego radnego miejskiego, który raz startuje z listy PO, innym razem z PiS-u, ze świadomością, że na poziomie samorządu lokalnego różnice między tymi partiami są nieistotne. Ani PO, ani PiS, ani żadna inna partia nie wypracowała dotychczas ogólnopolskiego programu samorządowego. Polityka miejska w żadnym stopniu nie zależy dziś od partyjnego koloru. Tak jest od roku 2002, gdy ustawodawca [całą władzę w gminie włożył w ręce jednego człowieka](#): wójta, burmistrza lub prezydenta, pozostawiając radnym pozory współdecydowania i słabnącą funkcję kontrolną. Nie wiedzą o tym jeszcze wielcy publicyści. Wiedzą, ale milczą dziennikarze uzależnionych od prezydenta mediów lokalnych.

Nie ma absolutnie żadnego miernika, który – po efektach kadencji – pozwoliłby stwierdzić, że w danym mieście rządzi PO, a w innym PiS, SLD, PSL czy burmistrz bezpartyjny.

Wszyscy szefowie gmin (tzn. wójtowie, burmistrzowie i prezydenci) starają się najlepiej, jak potrafią. Jeżeli jedno miasto rozwija się prawidłowo, a inne ułomnie, jeżeli z jednych miast młodzież ucieka, a do innych się garnie – przyczyny znajdziemy zupełnie gdzie indziej. Na pewno nie w partiach, zwłaszcza że urzędujący prezydenci różnymi sposobami próbują zrzucić z siebie kuratelę partyjną. Umykają jedynej instancji, która miałaby coś do powiedzenia w następnych wyborach. Prezydent miasta – jeśli uniezależnił się od partii – jest dziś odpowiedzialny już tylko przed sobą, bo nie każdy przed Bogiem, a żaden przed Historią.

To nie błąd, to rezultat

W roku 2002 o stanowisko szefa gminy ubiegało się **10.371** kandydatów. Cztery lata później było ich **8.227**, a obecnie tylko **7.785**. Podobnie spada liczba kandydatów na radnych gmin i miast na prawach powiatu: z **232.753** osiem lat temu do **180.847** obecnie. Rośnie za to liczba gmin, w których startuje tylko jeden kandydat: z **96** do **301**. Te i inne dane wskazują na pewne porządkowanie sceny politycznej, ale również na pogłębiający się **spadek uczestnictwa w demokracji**, potwierdzony niską frekwencją w wyborach, zwłaszcza samorządowych.

Nic tu nie pomogą pretensje pod adresem społeczeństwa. Bo wyborca działa jak najbardziej racjonalnie: jeżeli mogę coś zmienić – próbuję to zrobić; jeżeli jednak nic ode mnie nie zależy – nie będę się fatygować. I tego nie zapudrują jednomandatowe okręgi wyborcze.

Powoli do wyborców dociera świadomość zawłaszczenia pełni władzy w ich mieście przez jedną osobę (wybieraną *de facto* w okręgu jednomandatowym). Ale nawet ta osoba nie jest temu winna, bo przecież każdy z nas, gdy tylko może powiększyć swoją władzę kosztem innych – właśnie to robi.

O wszystkim zdecydował ustawodawca, który całokadencyjny budżet miasta przekształcił w jeden wielki fundusz wyborczy urzędującego wójta czy prezydenta. Czy to przypadek, że właśnie teraz kończona są ważne inwestycje, a nożyczki szefa każdej gminy aż grzeją się od masowego przecinania wstęg? Nie, to nie przypadek, to nie samowola i nie zła wola. To jest rezultat! Rezultat ustawy o bezpośrednim wyborze wójta, burmistrza i prezydenta, uwalniającej szefa gminy od jakiegokolwiek odpowiedzialności przed gminną radą.

Spełniłem wszystkie obietnice!

Dowodów ustrojowej słabości wspomnianej ustawy dostarczają sami prezydenci, ubiegający się obecnie o władzę w kolejnej kadencji. Otóż jeden przez drugiego prześcigają się w porównywaniu rzeczywistych osiągnięć z zapisami własnego programu wyborczego sprzed czterech lat.

Niektórzy mogą popisać się stuprocentową zgodnością, niektórzy pokazują program zrealizowany tylko w 99%. Nikt raczej nie schodzi poniżej 95%, a jeżeli musi, to oczywiście: **INNIWINNI** (z każdej strony czyta się to tak samo: prezydent ma zawsze rację).

Czy to źle, że program został wypełniony? Z punktu widzenia programu – oczywiście dobrze, ale z punktu widzenia demokracji to jest tak, jak z tischnerowską prawdą: *święta prawda, tyż prawda i g... prawda*. Im więcej spełnienia – tym bardziej staje się to podejrzane.

Przecież nawet rządy państw nie mogą się pochwalić takimi wskaźnikami. Coś tam opowiadają w kampanii wyborczej, a potem robią to, co możliwe i w danej sytuacji dla kraju najlepsze. Jeżeli jednak ktoś dokładnie wypełnia swój program, to znaczy, że to nie był program, ale samospełniające się proroctwo!

Nie będę tu przytaczał przykładów historycznych, bo porównania mogłyby być niemiłe. Nie wspomnę też o Łukaszenko, który wygrałby dziś nawet w pełni demokratyczne wybory, bo on też od kilkunastu lat cały budżet własnego kraju przeznaczają na swoją nieustającą autopromocję. Zwrócę tylko uwagę na aspekt współuczestnictwa w demokracji.

Otóż **jeżeli w stu procentach został wykonany program jednego człowieka, to znaczy, że programy tysięcy innych ludzi zostały wykonane w procencie zerowym!** Przez cztery lata nikt – również żaden radny, jeśli nie ma dostępu do ucha – otóż nikt nie miał nic do powiedzenia, a przez następne cztery lata zostanie zrobione dokładnie to, co najlepiej w danej gminie wypromowany Łukaszenko zapisał właśnie w swoim programie. Bez względu na społeczne koszty i zmienne koniunktury.

Aborcja myśli politycznej

Jeżeli prezydent chwali się, że wykonał połowę swoich obietnic – to jest to całkiem niezły wynik. Jeżeli trzy czwarte – sprawa staje się lekko przedobrzoną. Ale jeśli zrobił wszystko, co zapowiedział, to znaczy, że tam jest dyktatura, że cztery lata temu wódz coś sobie zaplanował i po trupach to realizował, nie zważając na pojawiające się w tak długim okresie kryzysy gospodarcze, niespodziewane okazje czy po prostu – ujawniające się potrzeby zwykłych ludzi.

Konieczność reelekcji bywa argumentowana wysokimi kosztami wyszkolenia nowego prezydenta. Ale przecież obecnie nikt następców nie szkoli, a ustrój finansowania polityki zupełnie to uniemożliwia! We własnym obozie ewentualne przygotowania byłyby potraktowane jak zdrada, a w obozie przeciwnym – brakuje wiary, że ktokolwiek ma szansę wygrać z urzędującym władcą.

W innej ustawie – o partiach politycznych – posłowie zadbali, by z państwowej kiesy oni sami mogli wydawać przydzielone samym sobie pieniądze na własną autoreklamę. Nie narzucili jednak partiom obowiązku tworzenia instytutów, w których mogłaby rozwijać się myśl polityczna, w tym samorządowa. Taka myśl nie wyklucza się z doraźnych programów wyborczych. Do tego trzeba lat pracy. I kształcenia kandydatów na przyszłych szefów gmin.

Inwestycja w dożywocie

W dożywotniego prezydenta warto zainwestować. Tworzą się więc grupy interesu, całkowicie niewidzialne, zainteresowane np. spekulacją gruntami, planujące swoje posunięcia na dziesięć lat do przodu. A przez ten czas wykonuje się co roku jakieś drobne zmiany w lokalnym prawie, by np. w odpowiednim momencie wartość danej działki wzrosła stukrotnie.

Dożywotni władcy zawsze są też atrakcyjni dla sił zewnętrznych. Warto omotać szefa większego miasta, wciągnąć go w gry, z których już bez pomocy się nie wydostanie. Co to za gry, wie każdy, kto poczytał o metodach operacyjnych SB, KGB i Stasi. Dziś też nie tylko polskie służby specjalne mają swoich agentów Tomków. Tego typu inwestycje przestają być opłacalne, gdy wiadomo, że w następnej kadencji misternie knute plany mogą zostać całkowicie zmienione przez człowieka, do którego dana grupa interesów nie ma tzw. „dotarcia”.

Umożliwiając szefom gmin dożywotnią władzę, ustawodawca skopiował wzory zagraniczne, które w jednych państwach działają dobrze, w innych – bardzo źle. W kraju o płytkich obyczajach politycznych powinniśmy dążyć do „zanurzenia w demokracji” możliwie wielu obywateli poprzez **kadencyjność**, odświeżanie struktur władzy i partnerstwo. Sami wyborcy nie podniosą demokracji na wyższy poziom. Samo... się nie poprawi. Nadzieja w przyszłym ustawodawcy. To jego obowiązek.

Andrzej Jarczewski

Autor był radnym w Gliwicach od roku 1994 do 2010. Opublikował m.in. rozprawę o ustroju **Europoliteja, dostępną na **poczytaj.pl**. Tamże obszernie uzasadnienie podniesionych tu kwestii.**